

Józef Front



Życie
SPISANE
PATYCZKIEM



Józef Front

Życie spisane patyczkiem



Copyright © Józef Front

Copyright © Wydawnictwo Feniks Sebastian Niewiadomski

Jeziorany 2020

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

All rights reserved

Redakcja i korekta:

Anna Siwa

Anna Fiałkowska – Niewiadomska

Projekt okładki:

Marta Bobola – Zagożdżon

Rysunek na okładkę wykonany przez:

Zuzanna Hasiewicz

Wydawnictwo:

Wydawnictwo Feniks Sebastian Niewiadomski

ul. Ogrodowa 3/1

11-320 Jeziorany

Numer ISBN 978-83-956534-6-9

OD WYDAWCY

Szanowni Państwo,

Oddajemy w Wasze dłonie powieść autobiograficzną Józefa Fronta. Autor opisał w niej swoje „drugie życie”, czyli życie po wypadku, który spowodował, iż długie lata spędził przykuty do łóżka, zdany na pomoc innych. Nie tracił jednak hartu ducha i starał się zachować chociaż część normalności, oddając się swoim pasjom. Bardzo wymowny tytuł – „Życie spisane patyczkiem”, wynika z okoliczności w jakich autobiografia powstawała. Autor patyczkiem trzymanym w zębach wytrwale stukał w klawiaturę starego komputera, opisując swoją historię.

Z szacunku do nieżyjącego już Autora nasze prace redakcyjne ograniczyły się jedynie do drobnych – „kosmetycznych” poprawek, by zachować całość przekazu Pana Józefa.

Ufamy, iż ta historia poruszy Wasze serca tak bardzo, jak poruszyła nas.

Zespół Wydawnictwa Feniks

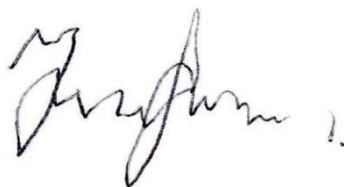
OD AUTORA

Urodziłem się wiosną 1954 roku, w domu rodzinnym mamy, w miejscowości Skawica u podnóży pasma Beskidu Wysokiego. Jednak od piątego roku życia mieszkałem w rodzinnym domu taty, pięknej dolinie otoczonej leśnymi zboczami gór, przysiółku Podpolice – Zawoja. Z urzędu mam na imię Józef, ale od dzieciństwa moja rodzina, przyjaciele i bliscy nazywają mnie drugim imieniem – Staszek.

Od czterdziestu lat jestem niesprawny fizycznie na skutek wysokołu kręgow szyjnych, które spowodowały ucisk na rdzeń kręgowy i porażenie kończyn górnych oraz dolnych. Po wypadku, załamaniu psychicznym i losowych zdarzeniach, ostatecznie wybrałem życie. Z powodu niewłaściwego leczenia i opieki, jakie zaraz po wypadku miały miejsce, jestem na stałe unieruchomiony w pozycji leżącej. Poruszam się tylko na łóżku własnej konstrukcji z pomocą osób trzecich. W pozycji na brzuchu, podpieram się na łokciach. Umożliwia mi to kontakt z resztą świata. Dzięki tej pozycji sam napisałem własną biografię pt. „Życie spisane patyczkiem”, którą aktualnie, drogi Czytelniku, trzymasz w swoich dłoniach.

Książka ta przedstawia głębszy obraz moich problemów z niesprawnością fizyczną i adaptacją do nowej, życiowej sytuacji po wypadku.

Serdecznie zapraszam

A handwritten signature in black ink, appearing to read "Andrzej". The signature is fluid and cursive, with a small mark at the end.

CZEŚĆ PIERWSZA

Na samym dnie

Ostatnie chwile sprawności fizycznej

Nagle obudził mnie dzwonek budzika. Rozespany powoli zdawałem sobie sprawę z tego, że pora już wstawać. Czas na obowiązki kolejnego dnia. Obudził się kolejny, piękny dzień. 16 lipca 1973 roku. Miałem wówczas dziewiętnaście lat.

Leniwie rozciągając się na materacu, pod ulubionym poddaszem w piwniczce, wsłuchany w odgłosy szumiącego, górskiego strumyczka, powoli wstałem i zaścieliłem posłanie. Wychodząc spod poddasza piwniczki na pole¹, owiał mnie lekki powiew, pięknego, letniego, lipcowego poranka, całkowicie mnie rozbudzając rześkim chłodem i poranną wilgocią. Idąc w stronę strumyka popatrzyłem na błękitne niebo i mały świerkowo-jodłowy las. Nad nim ujrzałem ostatnią gwiazdę minionej nocy. Na zroszonym poranną rosą i pachnącym świeżością trawniku wykonałem poranną gimnastykę. W górskim potoczku dokonałem porannej toalety. Obmyłem twarz, ręce, nogi. Rozkoszowałem się chłodem wody spływającym po moim ciele, który mnie całkowicie orzeźwił.

¹ Pole (przyp. Wydawcy) – regionalizm, oznaczający podwórko, wyjście na zewnątrz, na dwór;

Zanim zacząłem obowiązki dnia, poćwiczyłem na trapezie różne ewolucje. Dla samego siebie trenowałem gimnastykę. Podziwiałem też, przed wschodem słońca, pogodny, piękny, skąpany w kropelkach rosy, rozpoczynający się poranek letniego lipcowego dnia. Stąpając boso po zroszonej trawie, czułem rześki chłód porannej, obfitej rosy. Już układałem dzisiejszy plan dnia. Myślałem o koszeniu koniczyny z tatą. W domu ubrałem się, a po śniadaniu zaczęliśmy z tatą rozmowę o obowiązkach nowego dnia. Goście z miasta, jak to zwykle bywa, jeszcze smacznie spali.

Na dworze piękny poranek z rześkim powietrzem oznajmiał, że ten dzień będzie ciepły i pogodny. Doszliśmy do pola. Popatrzyłem na piękno przyrody gór. Zaczęliśmy kosić świeżą, soczystą oraz obficie zroszoną koniczynę. Bardzo przyjemnie się kosiło, a pokosy równo się układały. Tylko miejscami była powalona koniczyna od minionych burzowych deszczów. Powoli, podczas koszenia, zza wschodniego wzgórza leniwie wzeszło jasne słońce, otulając swymi ciepłymi, jasnymi promieniami całą piękną dolinę górską.

Po skoszeniu kosami sześćdziesięciu arów pola i rozrzuceniu pokosów, wróciliśmy trochę zmęczeni do domu. Usiedliśmy przy stole. Napiliśmy się świeżego, kwaśnego mleka, aby posilić się po pracy. Odpoczywając myślałem już

o drodze do centrum Zawoi z siostrzeńcami i innych sprawunkach.

Zaczelismy przy śniadaniu domową rodzinną rozmowę i powstał problem. W niedzielę ustaliliśmy, że to ja mam odprowadzić siostrzeńców na autobus do Katowic. Chłopcy musieli wracać, bo wyjeżdżali na kolonie.

Do przystanku było 6 kilometrów, a że obaj byli jeszcze mali, trzeba było im zanieść walizki. Oprócz tego konieczne było dzisiaj zameldowanie mamy szwagra. W czasach tamtego ustroju, przy strefie przygranicznej, przyjezdni musieli być tymczasowo zameldowani na adres osoby, u której mieszkali. Jeżeli do 48 godzin osoby przyjezdne byłyby niezameldowane, to miejscowy ormowiec, Heniek z gajówki, zaraz zgłaszał ten fakt milicji. Kolejnym obowiązkiem były większe zakupy, które należało zrobić w centrum, ponieważ w miejscowym sklepiku na Podpolicach nie było wszystkich potrzebnych towarów. Naraz rodzice i babcia siostrzeńców, jakby się zmówili, poinformowali mnie, że dzisiaj nigdzie nie pójde, bo mają złe przeczucia. Babcia siostrzeńców miała sen, w którym coś mi się stało. Ja oczywiście, nie wierząc w przeczucia i sny, w końcu przekonałem rodzinę swoim uporem, że wykonam wcześniej ustalone obowiązki. Po kilku jeszcze zadaniach w domu i obiedzie, przygotowałem siostrzeńców do drogi.

W ostatniej chwili babcia siostrzeńców wyszła z domu za nami i próbowała powtórnie mnie zatrzymać. Nie uległem jej namowom i ruszyłem z siostrzeńcami w drogę.

Szliśmy drogą wzdłuż górskiego potoku, wśród lasów i gór, podziwiając i rozkoszując się pięknem przyrody letniego dnia. Rozmawiając, doszliśmy do zakrętu polnej ścieżki zwanej, przez nas miejscowych, „Popodgronie”. Zatrzymaliśmy się dla odpoczynku przy bardzo starej jodle z figurką. Opowiedziałem siostrzeńcom historię, jak dawno temu w tym miejscu wilki zagryzły człowieka. Na przestrożę i pamięć o tamtym wydarzeniu umieszczono tutaj figurkę. Niespodziewanie Piotrek, starszy siostrzeniec, mówi mi żebym się wrócił, bo oni już sobie poradzą dalej sami. Zaskoczyło mnie, że siostrzeniec chciał mnie zawrócić w połowie drogi. Nie posłuchałem go i postanowiłem, mimo wszystko, odprowadzić ich do końca. Szliśmy dalej do Zawoi ścieżką wzdłuż pól uprawnych. Była to krótsza droga i bardziej zdrowa dla nóg, Można było podziwiać wtedy piękne widoki na położoną niżej wieś Zawoję i otaczające ją góry. Idąc tak razem, podziwialiśmy piękno krajobrazów górzystych stoków i doliny.

W końcu doszliśmy do centrum Zawoi i zatrzymaliśmy się przy Urzędzie Gminy, gdzie zameldowałem babcię

siostrzeńców. Mając jeszcze chwilę czasu, trochę zmęczeni drogą, poszliśmy do restauracji Zawojanka. Zamówiłem napoje i usiedliśmy, aby odpocząć. W międzyczasie poszedłem do apteki i innych sklepów na zakupy.

Po odpoczynku udaliśmy się na przystanek autobusowy. Po chwili czekania podjechał na przystanek autobus do Katowic. Wszedłem z siostrzeńcami do autobusu i kupiłem im bilety. Pożegnałem ich życząc udanych wakacji. Wychodząc z autobusu pomyślałem o kąpiel w miejscowej rzece Skawica. Zaraz przed powrotem do domu udałem się w stronę rzeki. Chciałem jeszcze sobie popływać dla przyjemności i ochłody. Idąc do położonego powyżej centrum Zawoi wgłębienia rzeki spotkałem bliskiego przyjaciela Staszka. Przywitałem się i od razu zaproponowałem mu wspólną kąpiel w rzece.

Staszek zaczął odmawiać. Jak sam mówił, niedawno oddał krew i powinien się oszczędzać. Po mojej namowie w końcu się zgodził. Szliśmy razem, ale po drodze Staszek spotkał kolegę, który zaproponował nam obojgu piwo. Staszek lubił piwo i postanowił udać się na nie z kolegą. Ja nie lubiłem piwa, więc zdecydowałem się iść dalej sam. Umówiliśmy się ze Staszkiem, że jak będę wracał to wstąpię po niego i razem pójdziemy do domu.

Szedłem drogą nad rzekę. Podziwiałem piękno błękitu

pogodnego nieba z płynącymi leniwie chmurami – *cumulusami*, wróżącymi piękną, ciepłą pogodę. Drzewa na poboczach drogi, koło domów i przy domowych sadach, jak również na obrzeżach pól, były pełne piękna soczystej zieleni. Lekko kołysząc się sprawiały wrażenie jakby tańczyły w rytm powiewu ciepłego wiatru. Patrząc na piękno Matki Natury odczułem dziwną tęsknotę za czymś, ale nie mogłem zrozumieć, za czym? Doszedłem nad brzeg rzeczki. Schodząc po zboczu do głębokiego koryta rozlewiska zobaczyłem znajomą Urszulę ze szkoły. Leżała dużo dalej od celu kąpieli i opalała się w słońcu na płaskiej skale. Czytała książkę. Doszedłem do wody, sprawdziłem czy nie jest za zimna. Była przyjemnie ciepła. Rozebrałem się do spodenek i wszedłem do wody. Przez płytki nurt rzeki przeniosłem na jej drugi brzeg ubranie, zakupy i inne drobiazgi, aby nie zostawić ich na drodze. Byłem trochę zdziwiony, że wokół kąpieliska nikogo nie było. Pewnie dlatego, iż był to poniedziałek. Ponownie wszedłem do rzeki i popłynąłem w głębszą wodę. Pływałem na różne możliwe sposoby, aż do zmęczenia i wychłodzenia. Chciałem móc potem wygrzać się na kamieniach w ciepłych promieniach słońca, a po ogrzaniu znowu wejść do wody.

Na dobre zakończenie dnia, przed wyjściem z wody i ostatecznym pójściem do domu, przepłynąłem pod prąd

rzeczny głębiny. Stałem w płytkiej wodzie szybkiego nurtu rzecznej gardzieli, na wprost głębokiej wody. Chciałem odbić się mocno i spróbować wykonać jeden obrót na plecy do wody. Gdy tylko o tym pomyślałem ogarnął mnie wewnętrzny niepokój. Coś mówiło mi, abym tego nie robił. Poczułem lęk przed tym skokiem. Bałem się wykonać tę ewolucję do wody. W końcu po długim namyśle doszedłem do wniosku, że skacząc z wody do wody przecież nic mi się stać nie może. Jeszcze chwilę zastanawiałem się, patrząc się na oświetlone promieniami słońca lustro wody, czy wykonać skok. Przez chwilę podziwiałem piękno odbić światła w wodzie. W końcu odbiłem się bardzo mocno od dna gardzieli skalnej.

Przy odbiciu poczułem, jak prawą nogą ześlizguję się z czegoś na dnie, tak, jakbym przez cały czas stał na dużym głazie na dnie gardzieli, a nie na jednolitej skale. Głaz przy odbiciu poruszył się i spowodował, że skok do wody stał się nieudany oraz słaby. Zamiast jednego, pełnego obrotu, wyszedł tylko pół obrót pod skosem w bok. Poleciałem prawie pionowo na głowę do płytkiej wody. Odczułem zanurzenie w wodę i moja świadomość znikła.

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki
